

Babciu, dzisiaj mam piąte urodziny. Mama spełniła moje życzenie i dostałem kolejkę. Teraz z pełnym brzuszkiem, buzią umazaną tortem siedzę na dywanie i sprawdzam, co będzie, kiedy lokomotywa zderzy się z wagonikiem. Ustawiam wagonik na torach i nakręcam lokomotywę. Eee, to nudne! Nic się nie dzieje. Lokomotywa pcha wagonik, ale wciąż trzeba ją nakręcać. Mama prosiła, żebym umył buzię, ale ja sprawdzam giętkość języka. Zbieram koniuszkiem krem czekoladowy z policzków. Ciocia mówi, że wyglądam jakbym jadł węgiel. Jest niemądra. Przecież dzieci nie jedzą tych czarnych klocków. Co będzie, jeśli zapalą się w żołądku? Albo tam gdzie mam serce dla mamy, taty i cioci?

Ciocia nie wie, że moje gardło często mruczy w brzuszku i mówi, że jestem głodny. Mama wtedy przypala frytki i robi kanapki. Jej kanapki są ohydne, bo nie daje masła. W końcu idziemy po drożdżówkę, co mi całkiem odpowiada.

Wczoraj byliśmy w sklepie z rybkami. Zgłodniałem, więc mama zaproponowała, że na obiad zjemy zdrowe rybki. Byłem ogromnie smutny, bo przecież ryby lubią żyć i muszą rosnać, więc jak można je jeść? Mama zrobiła bardzo zdziwioną minę i w końcu zjedliśmy pizzę.

Dwa dni temu z kolei rozmawiała z jakimś panem przez telefon. To był bardzo zły pan, bo mama płakała. Na końcu rzuciła słuchawkę i dalej płakała. Nie chciała mnie przytulić ani bawić się ze mną w berka. Próbowałem ją rozśmieszyć, ale w końcu powiedziałem:

— W tej rodzinie nie da się żyć!

A mama buchnęła śmiechem. Kto zrozumie te laski?!

Mama mówi, że szybko zostanie babcią. Zupełnie nie rozumiem, co ma do tego moje całowanie z Zuzią. Zuzka ma cztery lata i rude warkoczyki. Jadła truskawki i dzieliła się ze mną. Uznaliśmy, że to będzie miłość i dałem jej całusa. Na co weszła mama i zaczęła krzyczeć:

— Ja nie chcę być babcią!

Wzięła mnie za rękę i powiedziała, że musimy skończyć obiad.

— Mamusiu, to brzydko tak kłamać! Przecież zrobiłaś zupę wczoraj i nikt nie chciał jej jeść. Powiedziałaś, że dzisiaj ją dokończymy, bo mamy za dużo w tyłkach...

Nie zdążyłem dokończyć, bo mama wzięła mnie na rękę i zaniósła do domu.

Babciu, koniecznie musisz z nią porozmawiać.

Przecież mówiłaś, że jeśli ktoś kłamie, to potem nikt mu nigdy nie uwierzy.

Nie chcę, żeby mojej mamusi było przykro.

Długo myślałam o urodzinach Antosia. Wiedziałam, że marzył o kolejce. Sprawdzałam ceny w wielu sklepach i do końca wahałam się z zakupem. W końcu razem z tatą Antosia zdecydowaliśmy się. Posunięcie dość egoistyczne, tak naprawdę kupilibyśmy i zrobilibyśmy wszystko, żeby usłyszeć:

— Jesteś najcudowniejszą mamą na świecie.

— Jesteś najcudowniejszym tatą na świecie.

Antoś wieczorami powtarza notorycznie jedno zdanie:

— Mamuś, opowiedz mi, jak to było...

Wtedy snuję opowieści o dzieciństwie na wsi. Wybieram historie, które będą powstawały w jego głowie jak żywe. Chcę, żeby wiedział, że istniał świat bez tabletu i komputera.

Na początku był pies. Biały jak wata cukrowa i wielki jak kuchenny stół. Uwielbiałam go gryźć w ogon. Największą wadą było to, że oddawał. Kiedyś wciągnął mnie za kaptur do budy. Babcia chodziła i szukała małej Mai i nic! Nikt nie widział, nie słyszał, a babcia umierała na zawał.

Babcia umierała kilka razy. Kiedy wuj Bogdan zabierał mnie za las do pewnej staruszki na placek z poziomkami i nikogo o tym nie informował albo, kiedy weszłam na strych i stanęłam u szczytu schodów. Miałam taki lęk wysokości, że bałam się odezwać. Babcia obserwowała bąble na wodzie sądząc, że wpadłam do stawu. Kazała synowi co chwilę nurkować i mnie szukać.

Miała ze mną przechlapane. Raz i tylko raz się na mnie wściekła. Nazwałam ją Stachą. Nienawidziła, kiedy ktoś tak do niej mówił. No i wylała na mnie wodę z miski. Miała mnóstwo ciekawych przyzwyczajień. Jeździła rowerem w każdą niedzielę do kościoła. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie rytuały, które odprawiała przed wyjazdem. Jednym z nich było odkażanie gardła likierem jajecznym przed śpiewaniem psalmów. Wypijała mały łyk i potem poprawiała włosy. Wsiadanie na rower też nie było zwyczajne, bo rower był olbrzymi. Wyglądało, to ni mniej ni więcej tak: najpierw stawiała lewą nogą na pedale, a prawą się odpychała. Potem przekładała prawą nogę nad siedzeniem i ruszała. Wyglądało to dla mnie dość zabawnie tym bardziej, że robiła to na ulicy.

Dzisiaj pewnie siedziałyby w pudle, bo nie dość, że jechała pod wpływem, to jeszcze często zabierała ze sobą dziecko. Jeździłam z nią wszędzie. Głównie na

wesela i pogrzeby. Pogrzeby były dziwne. Prawie nie znałam ludzi, którzy umarli i niewiele z tego wszystkiego rozumiałam. Dla mnie to było jak widowisko, żałobnicy ubrani na czarno płakali i słychać było ponure zawodzenie trąb. Podniosłość uroczystości sprawiała, że z ciekawością przyglądałam się, ale nie czułam, że kogoś tracę. Wesela były nudne, muzyka i ciasto sprawiała, że chciało mi się spać.

Za to lubiłam z babcią kąpać w wiadrach oblepione pchłami szczeniaki. Co roku mieliśmy małe pieski — mięciutkie kulki z krótki łapkami i ledwo widocznymi oczyma. Należało się nimi odpowiednio zająć — wykąpać, dokarmić oraz utulić. Czasem to ściskanie nie wychodziło zwierzakom na dobre. Odgryzały się i uciekały

Babcia hodowała kurczaki i inny drób. Pisklaki trzymała w wielkiej skrzyni w kuchni, ogrzewała lampą i butlą z gorącą wodą. Siekała dla nich pokrzywy, mieszała z ziemniakami z kotła i paszą. Ziemniaki były wyśmienite, rarytasy, a doprawione pokrzywami, mniemam, po prostu pychotka. Kiedy babcia zostawiała wiadro z przysmakami dla kurcząt na schodach, wyjadaliśmy jej ziemniaki. Na wpół ugotowane na parze w wielkiej kotle były smaczniejsze niż czekolada. Pyszne też były jajka smażone na maśle, lepsze niż te na śniadanie. Kiedy wołała kurczaki, biegły do niej padając na dzioby, a kupry im się zadzierały do góry.

Kiedy któregoś dnia ojciec przejechał babciną kurę traktorem, pozbierała ją do wiadra. A gdy zapytałam, na co jej te resztki, stwierdziła, że to jeszcze nada się na rosół. Osłupiałam. Na szczęście rodzice w porę się zorientowali i rosół był, ale z kury niekoniecznie płaskiej jak podeszwa.

Wakacje spędzane na wsi były strasznie długie. Oprócz pracy, o której nie będę opowiadała, wymyślałyśmy z siostrami różne głupoty. Któregoś razu postanowiłyśmy naprawić stary motor, który nie miał przedniego koła. Zaniosłyśmy go pod kurnik za dom. Rozebrałyśmy stary głęboki wózek. Gondola była potrzebna do czegoś innego, zaś kółka miały się przydać do motoru. Postanowiłyśmy wstawić cztery kółka zamiast brakującego i przywiązać sznurkami do błotnika. Co sprawiało ogromną trudność, bowiem trzeba było ten pieruński wehikuł podnieść i chwilę przytrzymać, a dwie inne mechaniczki musiały mocować kółka. Jednym słowem zajęło nam to kilka dni. Potem czyściliśmy całość, próbowaliśmy rozkręcić silnik, żeby zobaczyć, co się zepsuło. Udawałyśmy, że to naprawiamy. W końcu po tygodniu ciężkiej pracy postanowiłyśmy zaprowadzić go na podjazd, inaczej zwany szczytem wjazdu i stamtąd go puścić. Sprawdzić, czy pojedzie i jak. Przetransportowanie w wyznaczone miejsce nie było proste. Motor był ciężki, a połączenie błotnika z kołami niczego nie ułatwiało. Trzeba

było dźwignąć motor na taczkę i wywieźć za bramę. Co też zrobiliśmy. W końcu nadszedł czas próby. Postawiliśmy go na samym szczycie i motor miał zjechać. Oczywiście najpierw się przewrócił i nie przejechał ani centymetra. Później ustawiliśmy błotnik tak żeby nie haczył o kółka, no i motor kawałek pojechał, ale potem zarył w piach, aż miło. Miałyśmy go dość i został tam gdzie padł.

Innym razem wpadłyśmy na pomysł zabawy w stodole, a konkretnie w Tarzana. Wyglądało to tak. Przerzuciłyśmy sznurek przez belkę, potem obwiązałyśmy nim siostrę w pasie. Następnie skoczyła ze sterty słomy na stertę siana. Wszystko wydawało się proste i bezpiecznie. Jednak w rzeczywistości tak nie było. Sznurek okazał się za długi. A kiedy siostra skoczyła, wylądowała dwa poziomy niżej z głową w słomie i nawet nie miała siły wołać: ratunku!

Głównie lato było obfite w wydarzenia. Za płotem u wuja dojrzewały smaczne rumiane jabłka, jakich nigdy potem już nie spotkałam. Miały niesamowity zapach, gałęzie były nimi oblepione. Jedynym mankamentem było to, że nie rosły u wuja, a ten nie pozwalał ich spożywać. Wymyśliłyśmy sposób, żeby to obejść. Przechodziłyśmy przez płot albo pod płotem. Po tyłu wyprawach siatka była już wystarczająco odgięta i nie trzeba było siły, żeby dorwać się do skarbu. Zawsze ktoś stał na czatach i pilnował, czy wróg nie nadchodzi. Na hasło: „IDZIE!”, wszystkie uciekałyśmy, a ta, która została musiała radzić sobie sama. Kiedyś Monika nie zdążyła uciec. Spodniami zaczęła się na płocie i oczywiście to wuj musiał ją ratować, bo nikogo więcej tam nie było.

Innym razem wpadłyśmy na genialny pomysł pływania w plastikowych wiadrach w rowie. Nie mieściłam się w wiadrze, więc tylko nadzorowałam wodowanie. Oczywiście wszystkie moje siostry powpadały do brudnej, cuchnącej wody. Na szczęście rów był niezbyt głęboki i nikomu nic się nie stało. Zimna woda nie ostudziła naszej wyobraźni.